Nr. 9 Rok 5 Kraków, dnia 27 lutego 1944. 40 gr.

# Ilustrow



**W lustrze**

SCENA Z FILMU „KOLEGA ZARAZ PRZYJDZIE"

Fot. Tobis

# NAJCIĘŻSZY KALIBER W BOJU





Powyżej:

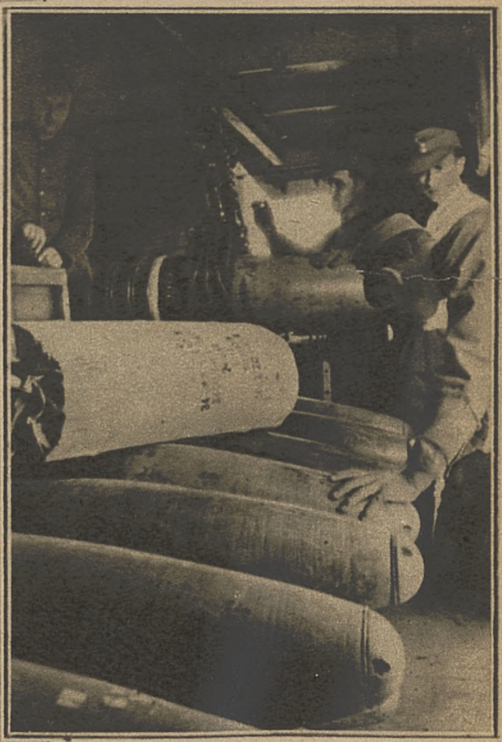
**OGNIA!**

Niemieckie działo najcięższego kalibru gotowe do strzału na pozycji frontu wschodniego. Dowódca baterii podnosi rękę i daje znak: „Ognia!".

Na lewo:

**STRZAŁ**

Potężną jest detonacja, gdy ciężki granat opuszcza lufę; aż ziemia drży od wstrząsu powietrza.



Powyżej:

**SKŁAD AMUNICJI**

Przy pomocy odpowiedniego żurawia transportuje się granaty ze składu aż do lufy.

Poniżej:

**W MARSZU**

Niemiecka kolumna motocyklistów na froncie wschodnim.

Poniżej:

**NIEBEZPIECZNE „OWADY"**

Niemieckie szybkie działa pancerne tzw. „Osy", znajdujące się na wschodnim froncie otwarły właśnie ogień na pozycje bolszewickie.

Fot. PK. Kaiser, Wirnschneider-PBZ, Knirsch-Atl. 3.





# Orły Nipponu



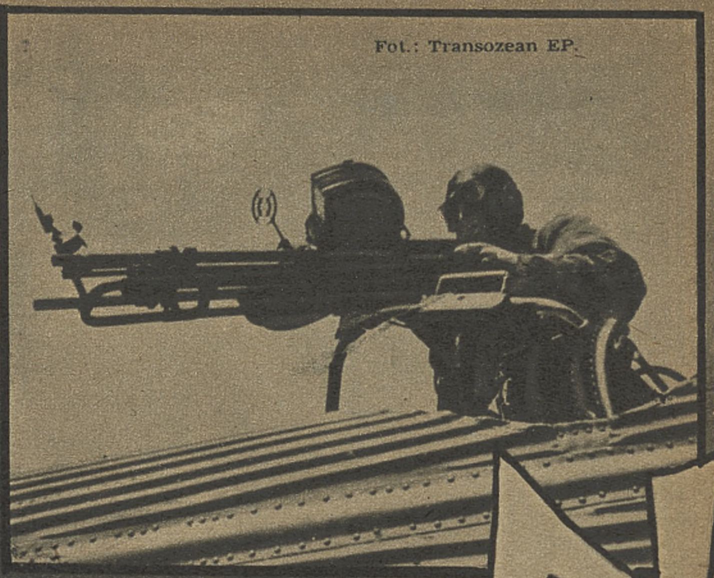
## LOTNICTWO JAPOŃSKIE

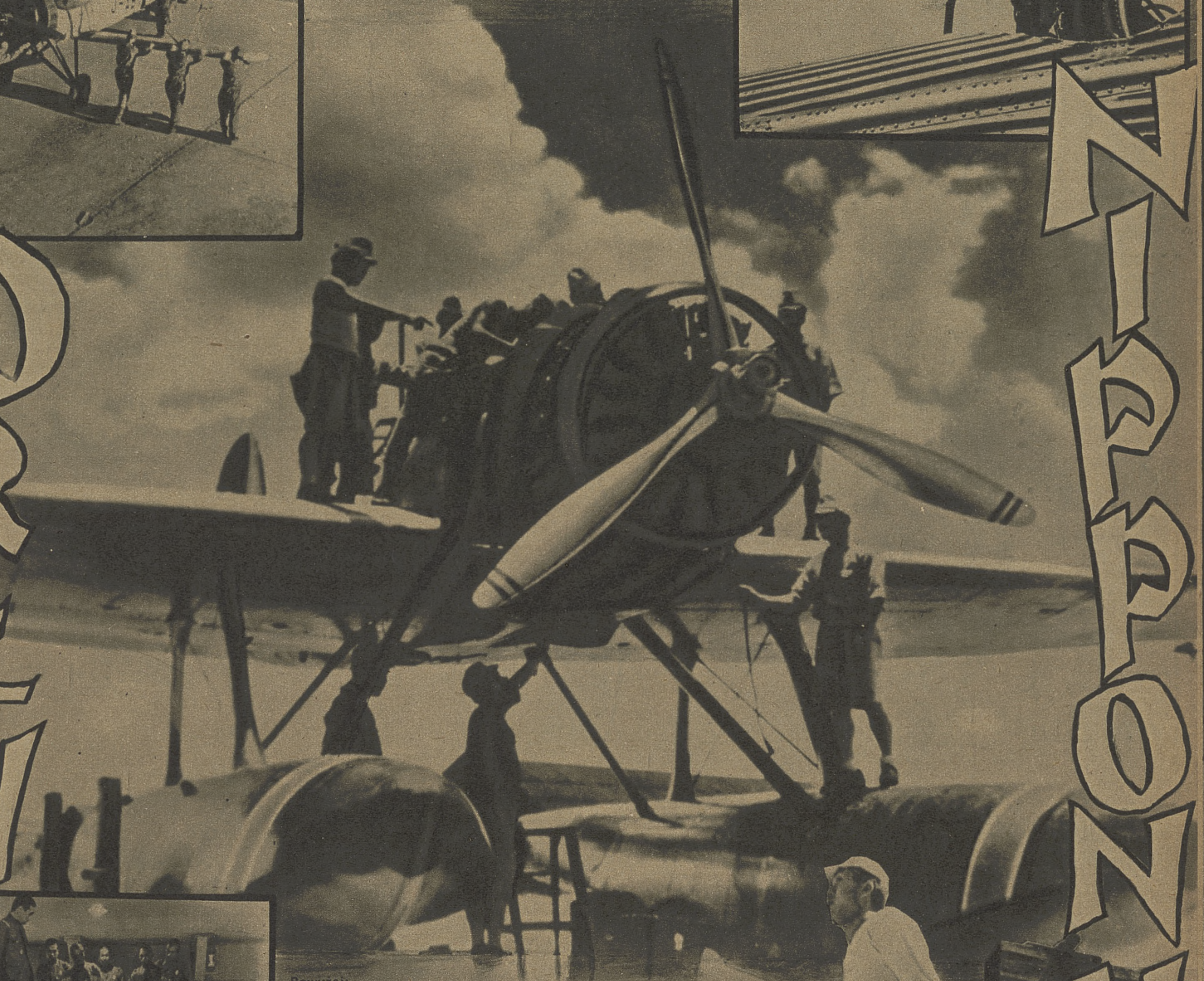
Od chwili przystąpienia Japonii do wojny, cały świat ze zdumieniem i podziwem śledzi wielkie sukcesy japońskiej broni powietrznej, której przewaga zaznacza się w każdym starciu z nieprzyjacielem.

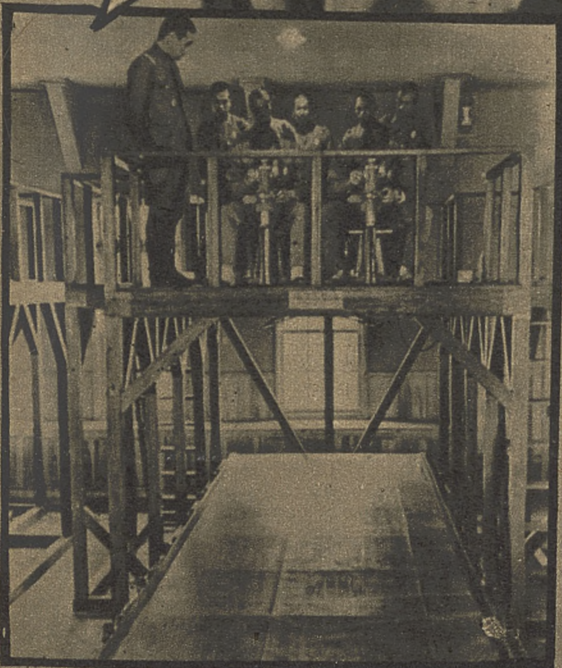
Na lewo:
Na jednym z japońskich lotnisk przygotowuje obsługa samoloty do lotu na nieprzyjaciela.

Na prawo:
Lotnik przy karabinie maszynowym. Zarówno broń jak i samoloty są najnowszej konstrukcji, a obsada odznacza się znakomitym wyszkoleniem.

Fot.: Transozean EP.





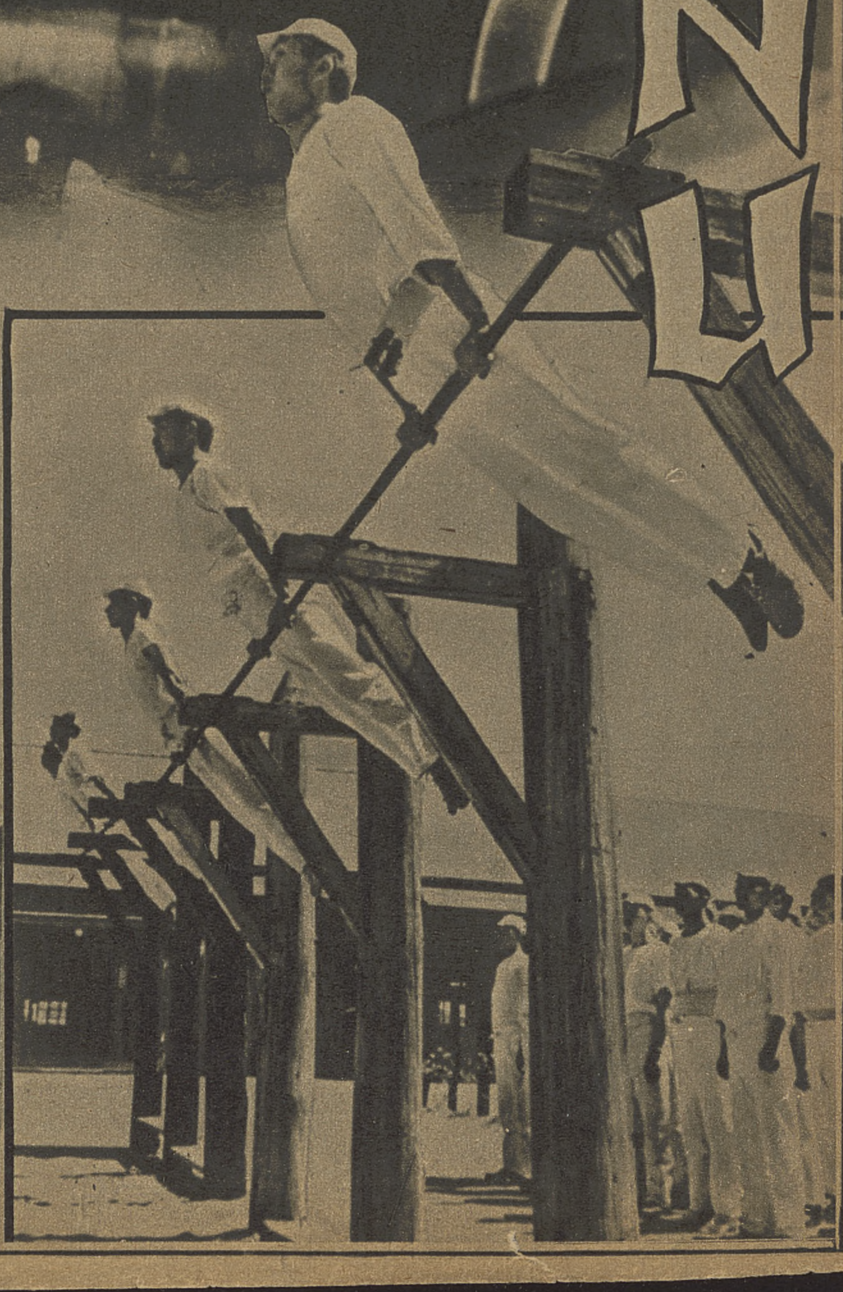


Powyżej:
Lotnisko na jednej z wysp Pacyfiku. Hydroplan, który niedawno powrócił z walki, przysposabia obsługa do nowego lotu na nieprzyjaciela.

Na lewo:
Lotnicy, obsługujący mechanizm bombowy ćwiczą się w ustawianiu celowników bombowych na oznaczony punkt na mapie terenowej, przesuwającej się pod ich stopami.

Na prawo:
Sportowe ćwiczenia lotników, w przerwach między walkami.

Poniżej:
Piloci jednej z eskadr udają się do swych samolotów, by wystartować do masowego nalotu na nieprzyjaciela.





# U MISTRZA MARIONETEK



Całym światem artysty jest jego atelier. Tu żyje on, tu tworzy swe dzieła, tu gromadzi wszystkie potrzebne do pracy przedmioty. Ponieważ twórczość artystyczna jest na wskróś indywidualną stąd i pracownia malarza, rzeźbiarza lub grafika zdradza więcej niż każda inna istotne cechy i charakter człowieka-artysty.

Szczególnie silnie odczuwa się to, gdy artysta jest przy tym wszechstronnie uzdolnionym. Takim typowym przykładem wszechstronnego geniusza był Leonardo da Vinci, wybitnie zdolny technik, inżynier, muzyk, przyrodnik, poeta i malarz w jednej osobie. Wszechstronnie uzdolnionym ale w innym typie jest żyjący w Wiedniu profesor Ryszard Teschner. Jest on nie tylko malarzem, rzeźbiarzem i grafikiem w jednej osobie, lecz również poetą, reżyserem i dekoratorem. Teschner przypomina nam Ryszarda Wagnera kompozytora, poetę i znawcę teatru, który jednoczył wszystkie uzdolnienia w swoich operach i kierował ku wspólnemu celowi. Teschner stworzył teatr marionetek, dla którego sam sporządza figury i również sam pisze utwory. Wszystko: figury, kostiumy, sceny i komponowanie tekstów komedii odgrywanych w tym teatrze, jest jego dziełem. Niekiedy sam nawet kieruje ruchami marionetek.

Teatr marionetek Teschnera jest znany daleko poza granicami Rzeszy, mimo, iż sam mistrz nigdy nie odbywa podróży objazdowych ze swymi marionetkami, lecz wszystkie przedstawienia odbywają się w atelier artysty. Z daleka przybywają goście na jego przedstawienia do Wiednia. Wśród nich było wielu zagranicznych artystów, reżyserów i dekoratorów, gdyż techniczne urządzenia, które Ryszard Teschner stworzył w swym teatrze, w ciągu pracy trwającej lat dziesiątki, odznaczają się taką doskonałością, że stanowią wzór dla urządzeń wielu wielkich scen. Marionetek swych nie porusza Teschner przy pomocy nici,

Na lewo:

**KSIĘŻNICZKA**

Tak wygląda prawdziwa księżniczka z bajki, przeżywająca tysiące przygód z elfami i nimfami, z karłami i olbrzymami.



Powyżej w kole:

**KSIĘŻYC,**

który może poruszać brwiami, oczyma i ustami, może śmiać się i płakać. Wszystkie te jego zdolności sprawiają, że jest on prawdziwym księżycem z bajki, który gra wspólnie z innymi odtwórcami sztuki, który płacze lub śmieje się, stosownie do nastroju panującego w danej chwili na scenie.



**PRZY SZAFIE Z FARBAMI**

Szafa ta sprawia wrażenie należącej raczej do jakiej apteki lub drogerii, aniżeli do twórcy fantastycznych, czarodziejskich przedstawień, na których widz zapomina o świecie realnym i przeżywa cały czar zaklętego świata bajek.

Fot. Eurofot

lecz z dołu za pomocą sztabek kieruje ich ruchami. Gra marionetek jest niemą. Towarzyszy jej tylko cicha, przytłumiona muzyka. Ale figury są tak po mistrzowsku skonstruowane i tak pełne życia, przy tym gra ich jest tak wspaniałą, że zapomina się całkiem, iż są to marionetki, a cały ich czar polega jedynie na optycznym złudzeniu.



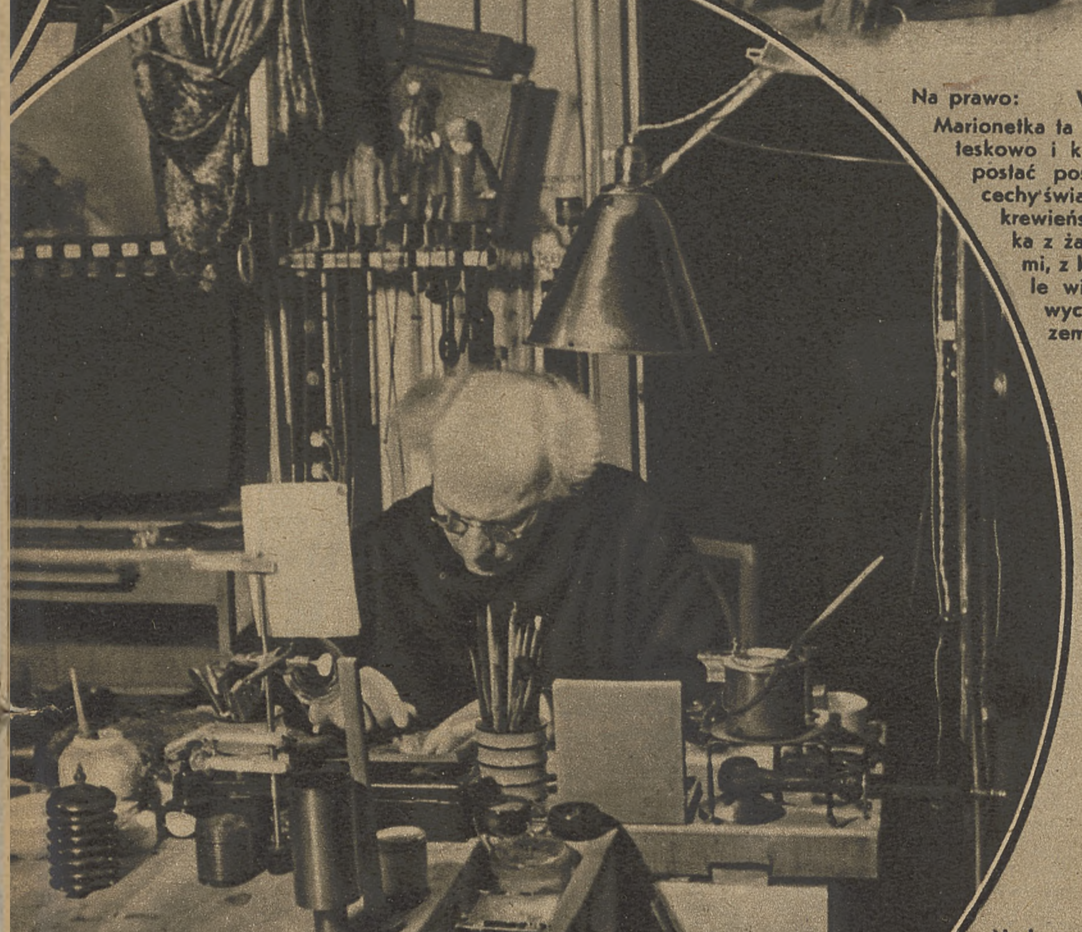


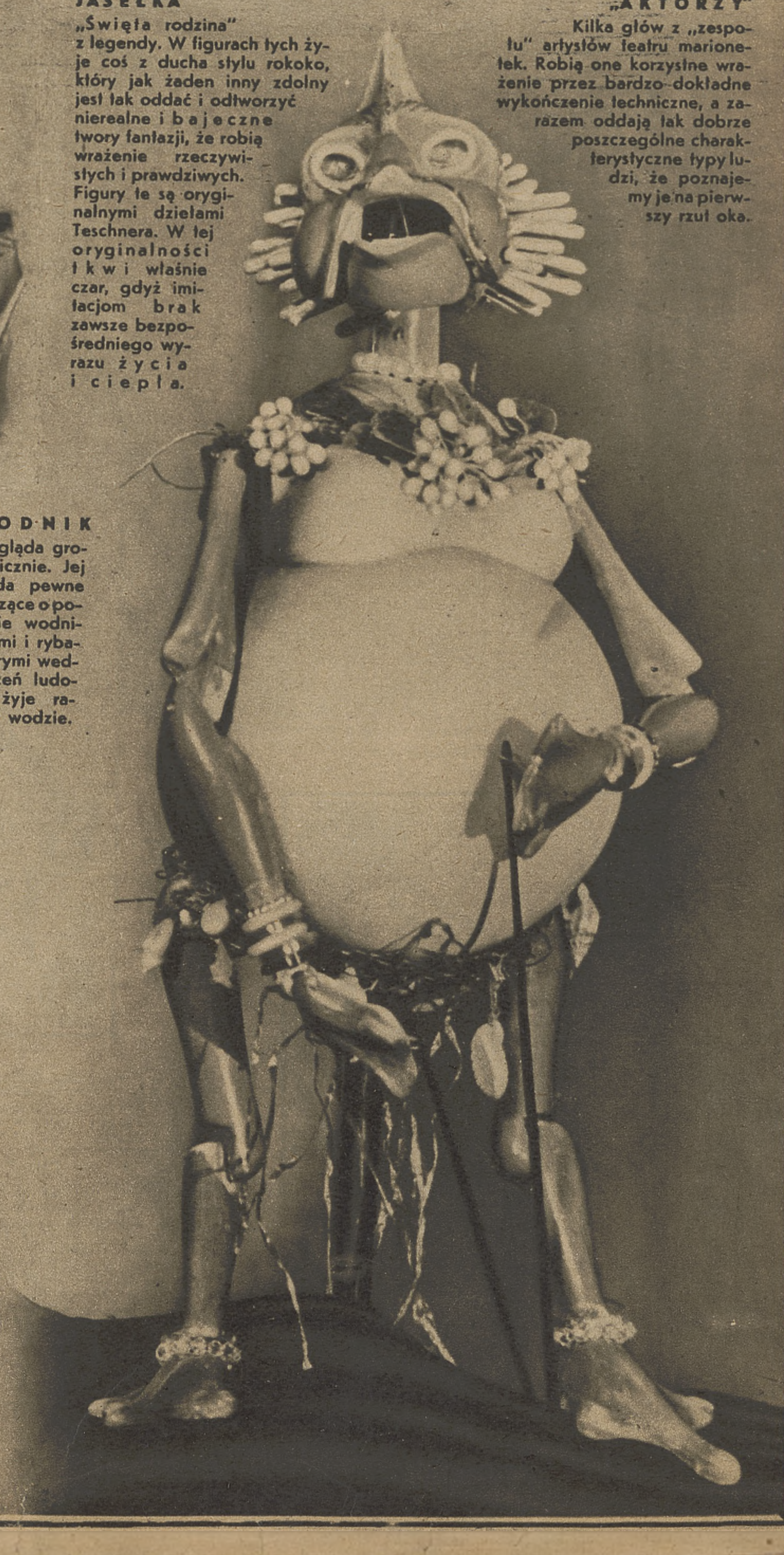
Na lewo: **JASEŁKA**

„Święta rodzina" z legendy. W figurach tych żyje coś z ducha stylu rokoko, który jak żaden inny zdolny jest tak oddać i odtworzyć nierealne i bajeczne twory fantazji, że robią wrażenie rzeczywistych i prawdziwych. Figury te są oryginalnymi dziełami Teschnera. W tej oryginalności tkwi właśnie czar, gdyż imitacjom brak zawsze bezpośredniego wyrazu życia i ciepła.

Powyżej: **„AKTORZY"**

Kilka głów z „zespołu" artystów teatru marionetek. Robią one korzystne wrażenie przez bardzo dokładne wykończenie techniczne, a zarazem oddają tak dobrze poszczególne charakterystyczne typy ludzi, że poznajemy je na pierwszy rzut oka.





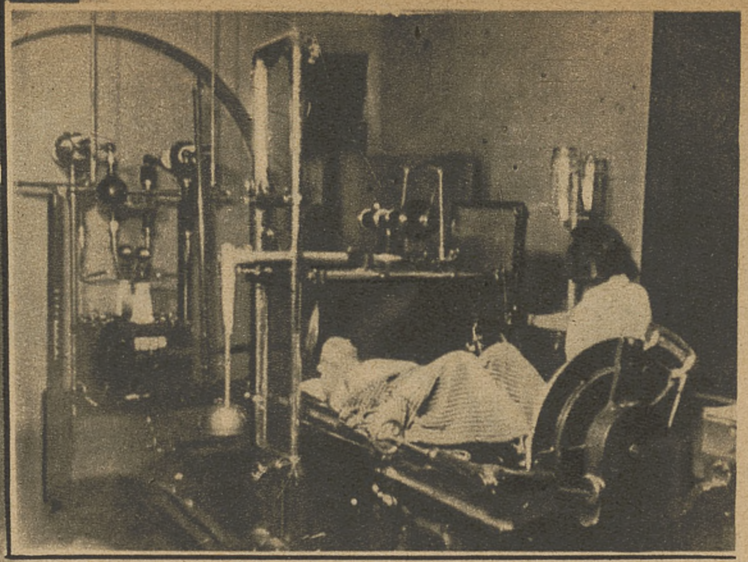
Na prawo: **WODNIK**

Marionetka ta wygląda groteskowo i komicznie. Jej postać posiada pewne cechy świadczące o pokrewieństwie wodnika z żabami i rybami, z którymi wedle wierzeń ludowych żyje razem w wodzie.

Na lewo: **MISTRZ PRZY PRACY**

Pracownia Teschnera nie ma nic mistycznego w sobie. Tokarka, śrubsztak, garnek z klejem i inne przybory znajdują się tu jak w warsztacie nowoczesnego stolarza. Ale mimo to nad tym wszystkim unosi się jakiś nieuchwytny czar, jak w laboratorium średniowiecznego alchemika.

# PROMIENIE X



Przy pomocy tak zwanego Novografu można w dowolnej pozycji i z każdej części ciała pacjenta dokonywać prześwietleń i zdjęć fotograficznych promieniami Roentgena.

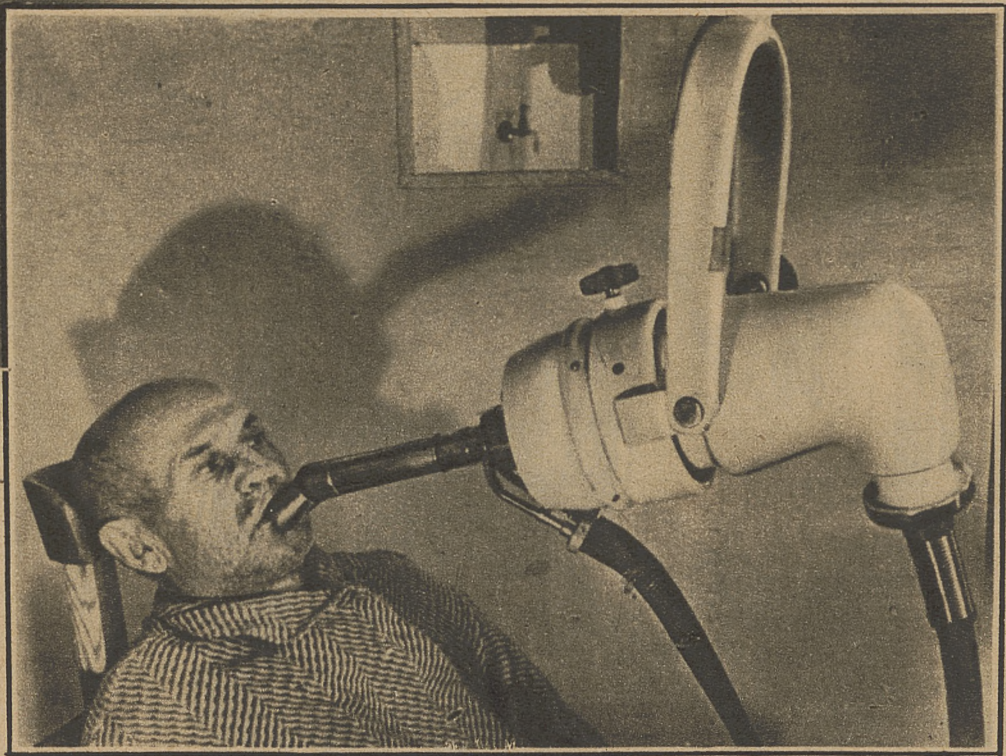
Najwartościowszą zdobyczą wiedzy XX stulecia są promienie X, popularnie zwane imieniem odkrywcy Roentgena. Te niewidzialne, lecz przenikające prawie przez wszystko promienie, mają dziś w licznych dziedzinach życia codziennego bardzo szerokie zastosowanie. W dziedzinie nowoczesnego lecznictwa stały się one nieodzowne. Dzięki nim ciało człowieka jest przejrzyste i lekarz może zbadać wewnętrzne powody choroby. Proste doświadczenia wykazują, że promienie nawet naszego „życiodajnego słońca" działają rozwijająco, lecz w nieodpowiedniej dawce szkodzą i zabijają tkanki żyjące. Żmudne badania promieniami X przekonały, że rozmaite nowotwory na i w ciele ludzkim, posiadają tkankę więcej wrażliwą od zdrowej komórki ludzkiej. Naświetlane promieniami Roentgena ulegają zniszczeniu. Podobne właściwości lecznicze posiada rad, odkryty przez Marię Skłodowską-Curie. Bardzo wysokie koszta produkcji, jak i krótki zasięg promieniowania radu spopularyzowały lampy roentgenowskie, które odpowiadają działaniu około 50 gr. radu i posiadają możliwości kierowania oraz regulowania przenikania promieni. Do uzyskania tych promieni jest potrzebne bardzo wysokie napięcie prądu elektrycznego. Lampy zasila się napięciem od 50 do 250 tys. Volt. W laboratoriach doświadczalnych dokonywane są już próby z napięciem do miliona Volt. Jedynie ciężkie metale, jak złoto, platyna utrudniają przenikanie promieni, a ołów nawet przy pewnej grubości zatrzymuje zupełnie promienie. Jako ochronę przed szkodliwym działaniem promieni na personel pracujący, używa się ołów w rozmaitych postaciach, jak pół centymetrowe płyty i naczynia. Przeznaczeniem Instytutu Radowego w Warszawie jest walka z „rakiem". Po mikroskopowym zbadaniu tkanki nowotworu następuje leczenie. Niektóre wypadki leczy się chirurgicznie, w innych zaś stosuje się promienie Roentgena i radu, zależnie od tego, po której z tych metod leczenia można się spodziewać w danym przypadku najlepszego wyniku. Przy zakładaniu opatrunku z radem używa się tubki platynowe z zawartością około jednej 10 tys. miligrama. Ponieważ rad wysyła trzy rodzaje promieni, filtrowania dokonuje się cienką pochewką platynową, dzięki której dochodzą do miejsca przeznaczenia tylko „uzdrawiające" promienie. Pacjent przechodzi kurację naświetleniową od 2 do 4 tygodni. Pomimo wojny Instytut Radowy rozwija się i uzupełnia swe wyposażenie najnowszymi urządzeniami. W bieżącym roku została zainstalowana tak zwana „BOMBA SIEMENSA". W tych niewidzialnych promieniach znalazła ludzkość najpotężniejszego sprzymierzeńca w walce o ZDROWIE.



Dyżurująca lekarka kontroluje naświetlania, a równocześnie przez okienko obserwuje pacjenta. Ściany pokoju naświetlań są obłożone płytami ołowianymi grubości pół cm. Również szyba z domieszką ołowiu nie przepuszcza promieni Roentgena.

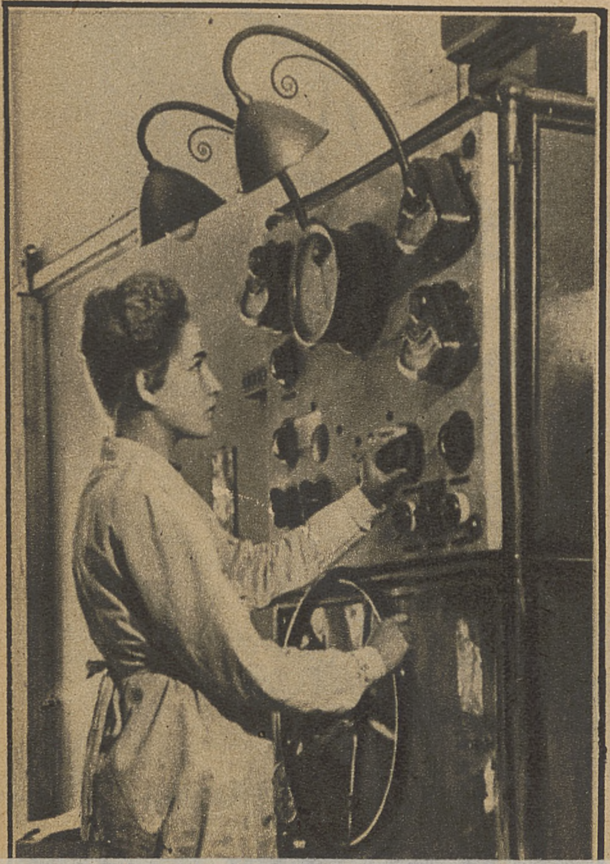


„Bomba Siemensa" duży aparat do naświetlań promieniami Roentgena w walce z rakiem.

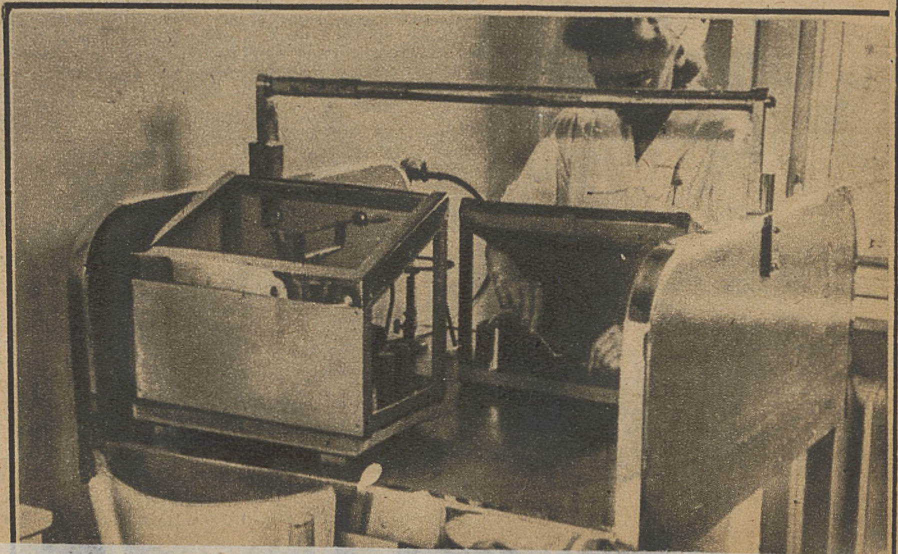


Naświetlenie dotykowe promieniami Roentgena.

Fot i tekst: Bil.



Podczas naświetlania laborantka musi stale i bardzo dokładnie badać natężenie prądu.



Specjalny stół do pracy z radem. Grube płyty ołowiane jak również specjalne szkło z zawartością ołowiu zabezpiecza laborantkę przed promieniowaniem radu.

# Śmierć krąży po zamku



Roman Chrząstowski

I pomyśleć, że tylko dlatego, iż dozorca cyrku „Rex" nazywał się Laporte, dwoje osób straciło życie.

Przypuśćmy, że byłby np. Chińczykiem i nazwisko jego brzmiałoby „Lu", czy też po prostu „O" i cała ta historia nie miałaby miejsca, ale na to nic nie poradzimy, mimo że śmiesznym jest, iżby życie ludzkie mogło, choć pośrednio, zależeć od czyjegoś nazwiska. Tak jak kichnięcie w górach może w specjalnych okolicznościach wywołać lawinę śnieżną, która w kilka sekund zamieni się w żywioł niszczycielski, podobnie pewne drobne zajście, mające miejsce tego wieczoru w tawernie „Dauphin", wywołało bieg wypadków, których punktem kulminacyjnym było zabicie tejże jeszcze nocy właściciela zamku w La Monta, Juliusza Vernon.

Przedstawienie cyrkowe dobiegło końca z lekkim opóźnieniem; tygrysica Nitra, która miewała czasami humory, nagle odmówiła posłuszeństwa i nie chciała przeskoczyć przez płonący pierścień. Laporte stał przy kratach z ręką opartą o stalowe widły i mruczał coś z niezadowoleniem.

Już tyle razy zwracał pogromcy uwagę, że ze względu na Nitrę trzeba zbliżyć nieco podesty do siebie, jest ona z trójki skaczących tygrysów najbardziej kapryśna i później jej zdenerwowanie udziela się całemu zespołowi. Przy wpędzaniu zwierząt do klatek musi ciągle biegać i pilnować wzdłuż okratowanego korytarza, by podrażnione tygrysy nie rzuciły się na siebie.

Właśnie Nitra zatrzymała się i odwróciła, za nią, wśród dochodzących oklasków, miała wbiec „Daisy", z którą żyła zawsze na stopie wojennej. Laporte wsunął widły między kraty i pchnął nimi tygrysicę w kierunku klatek, ostro wołając, ale Nitra parsknęła tylko i nie ruszała się. Na zakręcie ukazała się Daisy, za nią ma zaraz wbiec olbrzymi Bengali, a tymczasem wąski korytarz gotów zatarasować się kotłowiskiem ciał.

— Nitra!!... — wrzasnął, wśród ogłuszającego szumu, dochodzącego z widowni, na szczęście z drugiej strony podbiegł posługacz i dwoma sztabami zatarasował przejście.

Gdy Laporte w pół godziny później wchodził do tawerny, nie był w różowym humorze, gdyż z powodu spóźnienia wątpił, czy zastanie tu jeszcze pewną osóbkę, na której mu bardzo zależało. Noce są jeszcze zimne, a tu gotowo nawet grzanego wina już nie być.

Stanął w drzwiach i skierował najpierw swój wzrok ku ladzie, po czym z pewnym rozczarowaniem rozejrzał się po salce.

— La porte!*) — wrzasnął z pobliskiego stolika ochrypły głos, któremu widocznie nie było obojętnym, że ktoś stoi w otwartych drzwiach i wpuszcza niemiłe zimno do środka.

Laporte spojrzał na dwóch marynarzy, ale twarze wydały mu się obce.

— Drzwi!!!... — huknął powtórnie jeden z nich ręką o stół.

Laporte, słysząc ponownie swoje nazwisko, podszedł zdziwiony do nich.

— No, co?

— Jakto, co?!... Sanguenta!... — marynarz wstał i zataczając się, oparł rękę o krzesło.

— To po co mnie wołasz? — zdenerwowanie zaczęło u dozorcy wzrastać.

— Ja... ja cię wołałem?... ja ci tu... — zamachnął się ręką, ale o ile wypita ilość rumu niezbyt pewnie kierowała jego ruchami, o tyle złość dozorcy wybuchła nagle jak piorun i powaliła go na ziemię, dodając mu do towarzystwa kilka krzeseł i stolik.

Tak dobrze zapowiadająca się bijatyka nie objęła jednak szerszego zakresu, ze względu na to choćby, iż po pierwsze drzwi zostały w międzyczasie zamknięte, a po drugie — przedmiot marzeń Laporte'a zjawił się, niosąc dzbanek grogu; w każdym razie pewne wyjaśnienia okazały się, jak w tych wypadkach bywa, konieczne.

I co z nich wynikło?

Że marynarz nazywa się nieinaczej, jak — Laporte, że również pochodzi z Grenoble, że jako chłopczyk tak samo bawił się na Ile Verte, że...

Potem okazało się, iż mieszkali w tym samym domu, na tym samym piętrze, mieli tego samego ojca... wobec czego z rozczuleniem spojrzeli na siebie i rzucili się w ramiona. Gdy dwóch braci od 20 lat nie widzi się i nagle nastąpi niespodziewane spotkanie w rodzinnym mieście, okoliczność ta wymaga czegoś silniejszego, jak grzane wino.

I tym razem dozorca Laporte, wbrew swemu regulaminowi życiowemu, wbrew regulaminowi cyrkowemu, wbrew pewnym czarnym oczkom, dla których przyszedł, szybko dogonił swego brata w procencie zawartego alkoholu we krwi, a potem już zgodnie, razem powędrowali krętymi spiralami do punktu, w którym tęczowa bańka mydlana nagle pęka, a z nią razem wszystko inne znika.

* * *

Tejże nocy stary Battista, stękając, przewrócił się na drugi bok, aż wreszcie poderwał się pod wpływem uporczywego dzwonka. Na chwilę nastała cisza, po czym znowu rozległo się natrętne dzwonienie. Służący, mrucząc, narzucił na siebie bonżurkę i wyszedł na korytarz, oświetlony promieniami księżyca, podającymi od dużego okna witrażowego.

Gdy schodził po kokosowym chodniku, wyścielającym schody, usłyszał nagle niewyraźny stukot i jak gdyby przytłumiony okrzyk. Przyśpieszył kroku, zapalił na korytarzu pierwszego piętra światło, gdy wyraźnie dał się słyszeć jęk oraz głuche uderzenie padającego sprzętu.

Podbiegł do sypialni właściciela zamku, bez pukania nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte od wewnątrz.

— Proszę pana!... — zapukał cicho palcem. Kompletna cisza.

Uderzył silnie pięścią. — Proszę pana!... Co się stało?... Proszę pana!?... — poruszył ostro klamką i wydało mu się, że usłyszał od środka brzęk szyby.

Chwilę nasłuchiwał, podczas której serce biło mu głośno, wreszcie zaczął nogą kopać w drzwi.

— Hallo!... Battista... co tam dzieje się? — z końca korytarza wyłoniła się sylwetka niskiego mężczyzny w pasiastej pyżamie.

— Oh... panie Brignon... jakieś nieszczęście... pan dyrektor dzwonił, a teraz nie odzywa się... — nerwowo szarpał klamką.

— Dlaczego zaraz nieszczęście? — Brignon podszedł do drzwi — Jules!... Hallo!?... Jules, odezwij się!

Ale jedyny dźwięk, który usłyszeli był to okrzyk pani Brignon, która nagle wypłynęła w nocnym stroju.

— Henryku, dlaczego taki hałas robicie?

— Battista twierdzi, że Juliuszowi stało się jakieś nieszczęście. Rzeczywiście nie odzywa się. Trzeba będzie drzwi wyważyć.

— Po co zaraz wyważać? — pani Brignon poruszyła klamką i zaglądnęła przez dziurkę od klucza.

— Bo, jak widzisz, są zamknięte od wewnątrz i klucz tkwi w zamku.

— Wobec tego trzeba klucz wypchnąć i sprawa załatwiona.

— Nie mamy przecież zapasowego i jak otworzymy drzwi?

— Bardzo prosto. Przez dolną szparę, między drzwiami a podłogą, trzeba wsunąć do środka gazetę i gdy klucz na nią spadnie, z powrotem ją wraz z nim wciągnąć na korytarz. Tu są wystarczające szpary na przeciąg, od których nogi lodowacieją, więc i klucz przez nie przejdzie.

Jak z tego wynika umysł p. Brignon działał, bez względu na porę nocy, nieskazitelnie i, dzięki temu, po kilku minutach drzwi zostały otwarte. Efekt jednak przeszedł ich oczekiwania.

— Oh!... — pani Brignon stanęła jak wryta na widok, jaki ukazał się ich oczom, a jej małżonek nagle zawrócił i pędem pobiegł do telefonu, by zawiadomić władze bezpieczeństwa, że kuzyn jego został w okropny sposób... tutaj zająkał się kilkakrotnie, nim wypowiedział słowo: zamordowany.

Nikt z ich trojga nie odważył się przekroczyć progu pokoju i jedynie służący szeptał bez przerwy „per amor del dio... nasz pan Vernon".

Tak zastał go komisarz Jaurès z P. J.[2]), który w pół godziny później zjawił się z „komisją w sprawach morderstw". Towarzyszył mu młody redaktor z „Petit Dauphinois", Costa.

Wiedząc, że ma chwilę czasu, nim zostaną ukończone pierwsze badania, zdjęcia fotograficzne itd., usiadł w głębokim fotelu i wyjąwszy blok, rozejrzał się po hallu i zaczął czynić notatki do sensacyjnego artykułu, który jeszcze dziś ma być wydrukowany. Właśnie schodami schodził Battista, jego blada twarz i zapadnięte oczy już z daleka czyniły niesamowite wrażenie.

— Czy pan Vernon nie był przypadkiem prezesem tutejszych eksporterów na terenie rękawiczek?

Służący zastanowił się.

— Zdaje się, że tak. Ale wszelkich dokładnych informacji udzieli panu p. Brignon, który był jego prywatnym sekretarzem.

— Czy oprócz niego miał pan Vernon jakichś krewnych?

— Owszem, brata, który jest profesorem Sorbony paryskiej. Jest on kawalerem i więcej rodzeństwa nie posiadają.

— Wiec cały majątek dziedziczy jego brat?

Battista rozłożył ręce.

— Tego nie wiem. Przypuszczalnie tak.

Costa wskazał ręką na stalowych rycerzy stojących z halabardą w ręku wzdłuż ściany.

— Ten zamek jest dość stary, czy nie ma tu jakichś korytarzy podziemnych, ukrytych schowków?

— O niczym takim nie wiem, pan dyrektor od pięciu lat dopiero był właścicielem tej rezydencji.

To psuło efekt całego artykułu. Morderstwo w zamku w którym nie ma jakichś tajemniczych przejść!

Pani Brignon, zapytana w tej sprawie, przyznała wprawdzie, że słyszała czasami jakieś pukania w nocy, ale poza licznymi piwnicami, żadnych ukrytych schowków nie ma, mąż jej kiedyś zbadał tę sprawę dokładnie i na podstawie pomiarów stwierdził, że mury są za wąskie, by mogły zawierać w sobie tajemne korytarze. O tym, czy pomiędzy poszczególnymi pokojami są ukryte drzwi, bardzo wątpi, pod tym względem ta cała rezydencja zawiodła ją całkowicie. Przed rokiem, po ślubie, gdy nakłoniła męża, by u swego kuzyna objął posadę, cieszyła się na mieszkanie, pełne romantyczności, ale z tej strony rozczarowała się jedynie. Dopiero teraz czuje niepokój i nawet manekiny w zbroi średniowiecznej napawają ją lękiem. Tu obdarzyła młodego dziennikarza spojrzeniem, z którego wynikało jasno, że w jego towarzystwie żadne niebezpieczeństwo w postaci groźnego bandyty dla niej nie istnieje.

Gdy komisarz zjawił się z powrotem, można było poznać po jego twarzy, że sprawa przedstawia się dość poważnie.

— Mam już cały artykuł gotowy — zwrócił się do niego Costa — tylko czekam jeszcze na nazwisko mordercy. Jak ono brzmi?

Jaurès oparł się wygodnie w fotelu i machnął ręką.

— W tej chwili opukują ściany, jeśli nie ma jakiegoś przejścia, którego nie udało nam się dotychczas odkryć, to przede wszystkim — rozłożył ręce — chciałbym wyobrazić sobie, jak wygląda człowiek, który dostał się, względnie wydostał z tego pokoju. Okno dzieli od ziemi około 7 metrów gładkiej ściany.

— Więc może samobójstwo?

— Za chwilę sam zobaczysz... Cała twarz zmiażdżona, na szyi ślady duszenia, lewa ręka w dwóch miejscach złamana, krzesła powywracane...

Costa gwizdnął przez zęby.

— Rabunek?

— Kasa pancerna otwarta, ale co zginęło, zobaczymy później — założył ręce na kolana. — A cóż pani Brignon, ładna kobietka, przyłapałem cię na uwodzeniu jej.

— Skarży się na brak romantyczności w tych murach, brak tajemniczych korytarzy itd.

— Do pioruna, tego obawiam się, a jednak do pokoju, zamkniętego od wewnątrz ktoś dostał się, a co najważniejsze — wydostał, a przecież nawet skok z tej wysokości grozi pogruchotaniem kości. Zresztą... wyobraźmy sobie całe zajście: Otóż Vernon siedział nad rachunkami do późnej nocy, widocznie sprawdzał kasę.

— Drzwi od wewnątrz zamknięte, okno też, z powodu zimna.

— Ale przypuśćmy, że w trakcie pracy otwiera okno celem przewietrzenia...

— I przez nie wchodzi czarna postać zamaskowana...

— ...która, primo — samolotem wjechała na parapet, secundo — dla rabunku musi najpierw zadusić kogoś, by mu potem zmasakrować ciało i nie mieć czasu na zabranie pokaźnych sum, które znajdują się w otwartej kasie. Do diabła, nie ma tu cienia logiki. Ale chodźmy zobaczyć, czy nie istnieją jakieś ślady na zewnątrz.

Pobieżny wynik badań przy świetle latarek zasępił jeszcze bardziej twarz komisarza. Tuż koło muru biegł trawnik, który od gazonu parkowego był oddzielony żwirowaną ścieżką.

— Jeżeliby ktoś nawet zeskoczył z tej wysokości, musiałby w rozmiękłej ziemi po deszczu zostawić ślady. A poza tym powiedz mi, w jaki sposób ludzka istota, obdarzona od urodzenia siłą grawitacji, mogła dostać się do tego okna?

Costa wskazał głową na pobliskie drzewo.

— Przypuśćmy, że ktoś wdrapał się na ten kasztan, posunął się do końca tamtej gałęzi i rozbujawszy, uchwycił poręczy balkonika, potem...

— A potem?

— Następnie, po tym gzymsie strawersował ścianę aż do samego okna.

— Jaki gzyms znowu?

— A ten ciemny pas, biegnący wzdłuż ściany, około metra poniżej okna.

Jaurès przejechał promieniem światła wzdłuż muru.

— Więc ty sądzisz, że można przebyć kilkanaście metrów, mając jako jedyną podporę występ szerokości — dwóch centymetrów?

— Wcale nie sądzę, powiedziałem tylko przypuśćmy, sądzenie zostawiam wam... a zresztą inna droga: z dachu romantycznie na jedwabnej drabince linowej.

Jaurès spojrzał w górę.

— Hm... zbadamy i tę możliwość.

Ale najskrupulatniejsze badania, czynione, we wszystkich kierunkach miały w rezultacie tylko to, że komisarz coraz bardziej nerwowo bębnił palcami po krawędzi stołu.

Bo, powodów miał aż nadto ku temu.

Przede wszystkim podważenie podłogi w kilku miejscach oraz zerwanie tapet do niczego nie doprowadziło; do zamkniętego pudełka pokoju jedyna droga prowadziła przez okno — chyba, że ktoś o wymiarach wiewiórki mógł przedostać się do kominka przewodem kominowym.

Drzwi zamknięte od wewnątrz na klucz odpadają i pozostaje okno jako jedyne możliwe przejście ze świata do pokoju.

A słowo „możliwe" należało wziąć w cudzysłów, gdyż wejście, czy też wyjście tą drogą wyglądało zupełnie „niemożliwie", a ewentualne spuszczenie się z dachu za pomocą liny należało wykluczyć, gdyż dostanie się na dach po ścianie było co najmniej trudniejsze niż do okna, a od środka strych był zamknięty na kłódkę. Zresztą dokładne badanie dachu nie wykazało żadnych śladów, jakie musiałyby zostać na cienkiej warstwie mchu, który go pokrywał.

Wprawdzie pies policyjny zaczął oszczekiwać kasztan z dużym zdenerwowaniem, co by świadczyło, iż jednak tędy prowadził ślad, to o ile przeskoczenie z gałęzi do krat balkonika wymagało iście cyrkowej zręczności, o tyle dalsza trasa daleko wybiegała poza jej możliwość.

Niemniej kłopotliwą była sprawa z narzędziem zbrodni. Wziąwszy pod uwagę rodzaj obrażeń, musiał to być jakiś ciężki przedmiot. Pies za kasztanem złapał ślad i biegiem piął się do góry w kierunku Casque du Neron, wpadł do lasku i nagle zaczął kręcić się w miejscu. Znaleziono tam zakrwawiony toporek od kominka, który jak się okazało zginął z pokoju zabitego. Nie ulegało wątpliwości, że tym narzędziem, zostały zadane straszne rany, ale niezrozumiałym jest, dlaczego złoczyńca zabrał go ze sobą w drogę wymagającą i tak nadludzkiej akrobatyki, by porzucić go potem w miejscu, łatwym do znalezienia.

A gdy chodzi o motywy zbrodni, te jeszcze mniej wydawały się zrozumiałe.

Wśród pokaźnej sumy, jaka znajdowała się w pokoju, zniknęła tylko paczka banknotów w banderoli, sto tysięcy franków i... czerwona makatka, wprawdzie wyszywana złotem, ale wartość jej w żadnym stosunku nie stała do walorów i kosztowności, znajdujących się w otwartej kasie, pomijając dalsze paczki banknotów na stole.

Gdy jednak ogrodnik koło południa przyniósł owe sto tysięcy frankówek, nietknięte, z wiadomością, że leżały po prostu na trawniku za oranżerią, nitka przewodnia rozumowania, idąca w kierunku mordu rabunkowego, uległa dalszemu pogmatwaniu. Ponieważ droga, którą wykazał pies przechodziła w pewnej odległości od miejsca znalezienia banknotów, należało przypuszczać, że zbrodniarz w czasie ucieczki rzucił po prostu paczkę w bok, jako rzecz bezwartościową.

Sto tysięcy franków!

— Więc jednym słowem — Costa oparł się o róg stołu — złoczyńca musi być przede wszystkim „człowiekiem muchą", a potem — wariatem, dopiero wtedy cała ta sprawa ma jakiś sens; co zresztą nawet łączy się ze sobą, gdyż według mnie, sam fakt, że ktoś zawodowo uprawia sport drapania się po murach kamienic nie świadczy o jego kompletnej równowadze umysłowej. A że „ludzi much" jest mało, a tak zwariowanych, że 100 000 rzucają za oranżerię jeszcze mniej, więc drogą eliminacji masz w przeciągu pół godziny ptaszka za kratkami.

— Łatwo ci żartować — Jaurès przejechał palcami po blacie — a tu można naprawdę rozum stracić.

— Wcale nie żartuję, przyrzekłem czytelnikom, że już jesteś na tropie, a ty mi tu taki zawód robisz.

Pani Brignon spojrzała na Costę z wyrazem przerażenia.

— Więc pan sądzi, że tego okropnego czynu dokonał szaleniec?

— Mało: „sądzę"... od tego jest p. komisarz. Mam już na ten temat wypisane trzy szpalty artykułu, który pani jutro z wielkim pożytkiem przeczyta.

— O Boże, więc ten szaleniec mógłby tu powrócić.

— O ile jego zamiłowanie do czerwonych makatek nie zmalało — tu spojrzał, jak gdyby od niechcenia na purpurowy szal, który spoczywał na jej kolanach.

Wszedł służący.

— Pan profesor telefonował, że jest w drodze, który pokój mam dla niego przygotować?

— Ten obok gabinetu, albo... — zastanowiła się przez chwilkę — nie, lepiej gościnny, narożny, Henryk tak lubiał widok na tę część parku.

— O której przyjedzie p. Vernon? — zapytał Jaurès.

— Przypuszczalnie koło 22.

— Wobec tego zaczekam na niego — spojrzał na zegarek — może udzieli mi pewnych informacji.

— Pysznie, pan komisarz zanocuje u nas, będę przynajmniej czuła się bezpiecznie.

— O, pod taką opieką nawet najbardziej zwariowany opryszek nie będzie śmiał zbliżyć się do pani — Costa wstał i ukłonił się — jadę do swojej „budy" popracować trochę. Zatelefonuj do mnie, jak będziesz miał coś nowego dla mnie. Pamiętaj, że w moim wieczornym artykule złoczyńca jest już jedną nogą za kratkami i — odwrócił się od drzwi — milion czytelników czeka na chwilę, kiedy złapiesz drugą nogę... Pa... pa...

*Dokończenie w następnym numerze*

*) Drzwi zamknąć!

[2]) Police Judicaire.

# IGRZYSKA NAMIĘTNOŚCI

Postanowiłem pójść do kina. Ponieważ jestem laikiem w tej dziedzinie, uważałem za wskazane zebrać przed tym szereg informacji w tym kierunku u stałych bywalców dworu „X MUZY". Toteż zapukałem do mieszkania sąsiadów w celu zaindagowania w tej sprawie słynnej w całej kamienicy kinomanki — p. Jadzi. Pani Jadzia nie tylko, że oglądała każdy nowy film w przeciągu ostatnich lat, lecz także przeżyła romans z amantem kinowym, romans, którego historię opowiadano sobie nawet w oficynach. Nie będę ze względów dyskrecji podawał szczegółów. Ograniczę się tylko do stwierdzenia, że amant kinowy p. Jadzi pełnił funkcję biletera w jednym z kin (przez co niemniej zasługiwał na nazwę amanta kinowego) — i opuścił posadę po porywającej walce stoczonej z tłumem publiczności szturmującym do kasy, walce, której następstwem było zwycięstwo tłumu oraz uszkodzenie pięknego ciała biletera. Znając więc te fakty, niejasno zdawałem sobie sprawę, że określenie „pójść do kina" oznacza coś więcej niż wykupić bilet i zająć zarezerwowane miejsce. Wszystkie niejasności miały być rozstrzygnięte przez p. Jadzię.

Wszedłem: — Dobry wieczór panno Jadziu. Chciałem pójść do kina i może pani . . .

— Co! Pan?! Pan do kina? — No, świat się kończy!

— Dlaczego? Ależ . . . — zacząłem się tłumaczyć onieśmielony.

Panna Jadzia wysłuchała mnie z zainteresowaniem i rzekła:

— Wobec tego uważam, że powinien pan, chcąc iść pojutrze do kina, przede wszystkim wybrać odpowiedni dla siebie program. Ja, osobiście, poleciłabym panu film pod tytułem „Igrzyska namiętności". Ożywiona akcja, tempo itd. — zresztą zobaczy pan. A teraz proszę uważać. Musi pan stanąć do ogonka przed kasą, najlepiej na pół godziny przed rozpoczęciem seansu. Należy ubrać buty gorsze, bo może być większy ścisk, więc pan wie . . . Gdy pan już stanie w ogonku, niech się pan nie da wyrzucić. Najlepiej jest pchać się naprzód lewym łokciem i lewym kolanem. Nie należy pozwolić zachodzić się z boku. Dobrze jest stać blisko muru. Przy tym wszystkim niech pan pilnuje portfelu. I proszę się nie bawić w rycerskość wobec pań, bo nigdy pan nie wejdzie do środka.

Słuchałem bacznie, to rumieniąc się, to blednąc. Podziękowałem mojej informatorce i pożegnałem ją.

Ze zmarszczoną brwią i pełen nieustępliwości wróciłem do siebie. W skupieniu sprawdziłem funkcjonowanie lewego kolana i lewego łokcia. Ćwiczyłem po kilkanaście razy nagły obrót do tyłu z okrzykiem „mam cię złodzieju!" Dopiero gdy kilku sąsiadów ukazało się w progu z wołaniem „gdzie?, gdzie jest?" i z groźnym potrząsaniem pogrzebaczami i laskami, — odpowiedziałem, że to pomyłka.

Przez dzień następny przygotowywałem się duchowo do „Igrzysk Namiętności". W nocy budziłem się pod wrażeniem, że walczyłem z kołdrą, oraz że starałem się ścianę przylegającą do łóżka przedziurawić lewym łokciem i lewym kolanem. Wreszcie nadszedł wielki dzień. Niedziela. Znajomym rozpowiadałem z niedbałą miną, że idę do kina, i starałem się ukryć przez skromność siłę, jaka biła ode mnie przy tych słowach. Wreszcie po obiedzie zacisnąwszy pięści, poszedłem. Wziąłem nowe buty przez junakierię. Przyszedłem pod kino. Już z daleka widniał olbrzymi afisz z napisem „Igrzyska Namiętności". Ogonek już był. Przed ogonkiem, obok, i za ogonkiem — tłum. Biletów jeszcze nie sprzedawano. Stanąłem do ogonka i patrzyłem. Przede mną stał jakiś pan, który co pewien czas liczył pieniądze trzymane w ręce i oglądał się na mnie, pociągając równocześnie w sposób zapalczywy nosem. Ja chrząkałem dumnie i rozważałem w duchu patrząc na niego, czy wziąć go na sprzymierzeńca w oczekującej nas walce, o której nie wątpiłem. Bowiem tłum gęstniał, a składał się z pokaźnej liczby indywidualności, których sposób zachowania się wskazywał, że rozporządzają ogromnym zapasem energii i małym zapasem skrupułów w jej wykorzystywaniu. Tymczasem kasa była czynna. Zaczęliśmy posuwać się naprzód. W oczach ludzi pojawiły się ogniki, a tłum poza ogonkiem ogarnięty został gorączkową działalnością, wyrażającą się w nawoływaniach, oraz szybka krzątanina w ciasnocie, której rezultatem było miękkie uderzenie na całej linii w nieobronioną prawą flankę ogona. Wtedy z drzwi wejściowych do kina wytrysnął zrozpaczony głos portiera:

— Proszę p a ń s t w a! Proszę odejść! Każdy wejdzie!




To sprzeczne samo w sobie wołanie zachęciło w s z y s t k i c h do s z t u r m u na drzwi. I wtedy się zaczęło. Byłem już o 5 metrów od wejścia, zachowując z trudem korzystną pozycję przy murze kamienicy, gdy straszliwe natarcie „nieogonkowców" oderwało nasz ogonek od wejścia, a mnie dwa guziki od płaszcza. My zaś, „ogonkowcy" zebrawszy swe siły w bezwładnym przeciwuderzeniu, mimo woli skierowanym częściowo w swych towarzyszy formacji, przebiliśmy się znów do drzwi kina. Wtedy zagrała we mnie krew. Wepchnąwszy lewy łokieć w żebra utlenionej pani, a lewym kolanem niszcząc opór rutynowanego tramwajarza blokującego mi drogę, uderzyłem piersią jak skała twardą o portiera, który zbladł, złapał mnie za kołnierz i z namiętnym gniewem wypchnął mnie za drzwi na tłum szturmujących, którzy odtrąciwszy mnie jako przeszkodę w zmaganiach — „zrolowali" mnie na bok, ogłuszonego wrażeniami w stanie fizycznego wyczerpania, bez czucia i bez portfela. Wróciłem do domu. W progu mnie zapytano:

— Boże! A gdzieżeś ty był?

Odrzekłem:

— Na „IGRZYSKACH NAMIĘTNOŚCI".

Tadeusz Skowroński

# BELKA

Napisał BROTYCZ

— Niechże pan tu usiądzie i odpocznie sobie na werandzie. Tu chłodniej.

— Dziękuję! uprzejmie dziękuję! . . . Hi, hi, hi, uwolnił mnie pan od tych wisusów! Śmieszne pędraki, spokoju mi nie dają, ciągle mnie napastują jak te osy uprzykrzone. Wie pan czego chcą?

— Widziałem tylko, że pędzili za panem z wrzaskiem: „pokaż belkę!" wołając.

— Właśnie! — Koniecznie upominają się o to.

— Nie rozumię o co im chodzi?

— No, wie pan, chcą zobaczyć belkę, która mi wpadła ze sufitu do łba i tam siedzi . . . hi, hi, hi! . . . — zaśmiał się upiornie starzec.

Przygodny mój gość, którego uwolniłem z opresji napastujących go na drodze malców, był szczupły, jakby zasuszony, wysoki i przygarbiony lekko. Wieku około 65 lat, o twarzy pooranej suto bruzdami zmarszczek, z której widniały dziwnie mętne oczy zdradzające wyraz człowieka, będącego przy nie całkiem zdrowych zmysłach.

Kościstą jego postać, okrywała przydługa aż po kostki sięgająca peleryna, a na głowie, sterczał o ogromnych kryzach czarny kapelusz, spod którego wymykały się długie pasma siwych włosów.

Rozmierzwiona szpakowata broda dopełniała niesamowitej całości niezwykłego przybysza.

Widząc, że starzec wyjął z kieszeni skibkę chleba konsumując ją chciwie, domyśliłem się, że jest biedak głodny. Kazałem więc podać masło, trochę wędlin.

— Dziękuję! . . . bardzo dziękuję! Ale takich specjałów nie używam.

— Dlaczego? niechże pan je, proszę!

— Nie! — i stanowczym ruchem odsunąwszy talerz od siebie, gryzł dalej swój suchy chleb wpatrując się we mnie przenikliwie.

— Pan jest dobrym człowiekiem, prawda? — rzucił pytanie po chwili.

— Albo ja wiem? — może . . .

— Ależ tak, tak, ja się nie mylę! Jest pan jakiś inny, lepszy, niecodzienny. Ot, rozpędził pan czeredę tych smyków i zabrał mnie pod swój dach. Mimo wszystko, ja lubię tych urwipołciów, bo wie pan . . . — Tu przysunął się bliżej ku mnie i lękliwie oglądając się na boki, począł szeptem mówić:

— Wie pan, byłem nauczycielem w Po . . . Podo . . . w Pogr . . . — silił się biedak nie mogąc sobie przypomnieć nazwy wioski.

— Zapewne w Podgórzycach? — dopomogłem jego pamięci.

— Tak, tak, właśnie! W Podgórzycach byłem hi, hi, hi . . . belfrem. Uczyłem tych szczeniaków pisać, czytać, coś im i o Bogu opowiadałem. Tam, w tej wsi mieszkałem i tam oto wpadła mi belka do łba! hi . . . hi . . . hi . . . Tylko jedna belka, ale olbrzymia!

Tu ustał w opowiadaniu i patrząc na mnie swym obłędnym wzrokiem, milczał, jakby rozważał nad czymś.

Nieswojo mi się zrobiło, czując na sobie ciągle wpatrzone we mnie oczy.

— Może napije się pan trochę wina? — zaproponowałem, pragnąc przerwać to nieznośne milczenie.

— Wina? . . . hi, hi, hi . . . dawno nie piłem. Wina boję się.

— Dlaczego?

— Mówią, że „in vino veritas"! A prawdy już nie ma! Ale dla pana zrobię wyjątek, i skosztuję go chętnie. Opowiem panu to, co przed ludźmi kryję! Nie ma prawdy panie! prawda nie żyje! . . . przepadła! . . .

Znów zasępił się, i zapadł biedaczyna w ciężkie zamyślenie, z czego skorzystałem udając się do kredensu po wino.

— Na pańskie zdrowie! — zawołałem napełniwszy kieliszki.

— Cooo? na moje zdrowie!? ha, ha, ha . . . — zarechotał dziwnie przejmująco staruszek.

— Pan żartuje! — Ja zdrowia nie potrzebuję! po co? na co? dla kogo mi zdrowia?! Jestem już niepotrzebny na świecie.

Wychylił kieliszek, jeden, drugi, trzeci, po których mętne dotąd źrenice starca zalśniły nieco żywszym blaskiem i nabrały przytomniejszego wyrazu.

Gość mój rozparł się teraz wygodnie na krześle i zaczął:

— Wie pan, tak mi czasem dziwnie wierci w głowie, że strzymać nie mogę i pędzę przed siebie choćby na koniec świata. Zwą mnie „Belką" — mówią żem wariat! głupi! Hm, wariat! takie małe słowo, a tyle tragedii w sobie mieści! Ale panie kochany! przecież to śmieszne! Czyż wariat pamięta co było wczoraj? co robił przed miesiącem? co przeżył dawniej? Nie, nie! taki człowiek nie wie! nic nie pamięta — szczęśliwy że nie myśli logicznie! A mnie! mnie panie, z myślenia chce czasem głowa pęknąć na ćwierci! — Wie pan dlaczego? — tu znów nachylił się do mnie i wyszeptał tajemniczo: — Bo tam noszę belkę! o taką . . . Grubą — ciosaną! — To ona mi wierci tak w mózgu. Eh! — widzę, że i pan także mi nie wierzy.

— Ależ wierzę panu, wierzę! — zapewniłem starego bojąc się wywołać u niego niepożądanej reakcji.

— Wiem, że mi wszyscy nie wierzycie. Tak, bo ludzie chcieliby, by im łeb otworzyć jak szafę i pokazać belkę. Ale ho, ho, nic z tego! to jest moja własność, ja ją kupiłem za cenę korali. Ha, ha, słyszał pan kiedy o takim kupnie? Więc choć mi czasem ciężko nosić ją w głowie, ale belkę moją chowam skrycie, by mi poczciwi ludziska jej nie zabrali — tajemniczo wyszeptał starowina.

Robiłem sobie pewne wyrzuty, traktując mego gościa winem. Obawiałem się bowiem poważnie czy choć taka mała dawka alkoholu nie wywoła u nauczyciela szkodliwego skutku.

Wino jednak jak uważałem, działało raczej uspakajająco na staruszka, to też nalałem mu jeszcze jeden kieliszek, który opróżniał już wstrzemięźliwiej.

— Gdzie pan obecnie mieszka? — zapytałem chcąc go oderwać od rozmyślań nad tą jakąś urojoną belką.

— Wszędzie panie! . . . i . . . nigdzie. Przez dwa miesiące trzymano mnie w szpitalu. Skoro się jednak przekonali, że więcej mam rozsądku i serca niż oni, puścili mnie na wolność. No i poszedłem w świat. Teraz chodzę i szukam mojej Danusi. — Po tych słowach stary nauczyciel zasępił się znowu . . . i zamilkł.

— Któż to jest ta Danusia? — zapytałem zaciekawiony.

— Złote sploty miała panie, a oczy jak dwa wielkie turkusy, patrzyły radośnie na świat. Hm, wariat, a tak dobrze ją pamięta — prawda?

— Czy to była pańska . . . . . .

— Zaraz! Wszystko powoli opowiem, proszę słuchać. — Tu poprawił się w krześle i ciągnął dalej z dziwną melancholią w głosie. — Na końcu sioła mieszkałem, gdzie dwie drogi męka Pańska rozdziela. Dom mój winogradem opasany cały, stał jak gdyby w bukiecie kwiatów dookoła. Słonko nas rano witało w okienku, a znów przez drugie, zachodem żegnało. Przy domku w sadzie była pasieka niemała, kręciły się pszczoły i roiły muchy. Opodal rzeczułka płynęła wesoło, szemrząc prądem przez żwiry. A przy mnie — przy mnie mój panie, było na me lata stare, drugie ukochane słonko. Latek miało wnuczę moje czternaście! Danuśka, co się w sierocej chowała doli. Wszędzie było jej pełno panie, i w kuchni, i w pokojach krzątała się, biegała szczebiocąc słodko cały dzień jak ptaszę. Bywało, przyskoczyła od roboty, i pieszczotami mnie witała gdym wracał do domu. A tuliła się, a hołubiła obejmując mnie swymi rączynami, paplała jak ta mała sroczka nie dając dojść mi do słowa.

I było nam dobrze, wesoło — przytulnie. A gdy dzień się kończył, usiedliśmy oboje nieraz po wieczerzy za stołem i zaczął się rozhowor o tym, i o owym. Albo czytałem jej różne mądrości, albo ona śpiewała swoje piosenki aż się dom cały weselił.

Zbliżały się urodziny Danusi, lat czternaście kończyła w lipcu. Hi, hi . . . panna prawie na wydaniu! nie? A że mi nieraz wspominała, że chciałaby mieć korale i świecące paciorki, więc aby zrobić jej niespodziankę postanowiłem pójść do miasta i tam kupić jej korale, ale prawdziwe!

— Cóż to! — tu grzmotnął pięścią o stół, aż szkło zabrzęczało. — Nie stać mnie było na taki dla mej pieszczochy dar?! Niewiele też rozmyślając ubrałem się do drogi i pożegnałem się z moją ptaszyną.

— Zamknij dobrze drzwi! — mówię Danuśce na odchodnym, a gdybym się trochę spóźnił, nic się nie bój. Herod, tak się nazywał mój pies. Zła bestia była, obcego nie przepuścił za próg. Herod, mówię mój, będzie cię pilnował. Psa wziąłem z łańcucha, przywiązałem przy drzwiach, i ruszyłem do miasta, spokojny, że Herod nie puści nikogo.

I nie puścił psiakrew! . . . nie puścił! . . . — ciężko westchnął . . . jakaś dziwna boleść zmarszczyła mu czoło, a oczy zasnuły się mgłą smutnej rezygnacji. Nie miałem odwagi przemówić w tej chwili do niego, i przerywać pytaniami jego zamyślenia.

Po chwili ocknął się staruszek z zadumy, i ciągnął dalej swoją opowieść:

— Gdy na Anioł Pański dzwoniono w południe, ruszyłem szparko do miasta odległego od wsi 15 kilometrów. Szedłem śpiesznie, by wrócić do domu przed zachodem słońca.

— Ha, ha, ha! — zarechotał przeraźliwie. — Sześć sznurków kupiłem paciorków i korali. Przy tym trochę łakoci, słodkich daktyli i cukrów garść niosłem mej Danusi. A tak mi się do niej jakoś serce rwało, że chciałem być ptakiem, by jak najprędzej przybyć na miejsce. Upał w czas posuchy był wielki. Pot zalewał oczy, bo już nie szedłem, ale pędziłem byle na czas zdążyć do mej królewny.

Oto już wierzchołki lasu, okalającego wieś, wyłaniały się spoza góry. Wyszedłszy na szczyt . . . co to?! . . . słyszę dzwony biją — umarł kto? że tak dzwonią o tej porze? Choć dobrze znajomy, przyspieszyłem kroku, aby czemprędzej dowiedzieć się co się tam stało. I jakoś, wkrótce ujrzałem przy słonka zachodzie, jakby jasną rumianą zorzę.

Cóż to? czyżby dwa słońca ukazały się na wschodzie! . . . Tam mój dom stoi! Pędziłem jak szalony. Gdy wpadłem do wsi, coś ludzie do mnie mówili coś gwałtownie krzyczeli nic nie słyszałem, pędziłem, nie zważając na nikogo.

Zdyszany wpadłem na podwórko mojego królestwa, ha ha, ha — znów zarechotał straszliwie.

— A królestwo w ogniu! pali się jak świeca na ołtarzu. Krew zastygła mi w żyłach!... Danuśka!! . . . ryknąłem Gdzie Danuśka?! pytałem, i wodzę po ludziach okiem nieprzytomnym.

— Zapewne tam w izbie! — odpowiedzieli — nie mogliśmy jej wydobyć, nie pozwolił! Herod! — Słyszy pan?! nie pozwolił!! . . . psiakrew przeklęta!! Wszystko to trwało sekundy, wpadłem w płonące domostwo moje potykając się w sieni na ścierwie zwęglonego psa. Jeden krok jeszcze przez dym, i żar. Wpadłem do izby i skuloną w kącie Danuśkę porwałem w ramiona. Żyła jeszcze, bo objęła mnie ręczynami za szyję, tuląc się do mnie przelękniona.

Wypadłem szczęśliwy, że uratowałem mój skarb jedyny. Wchodzę do sieni — tu urwał . . . ciężko oddychając, jakby mu tchu już brakło, poprosił by mu nalać wina. Zaległa cisza . . . przerywana tylko brzękiem komarów i przyciszonym świegotem ptactwa gotującego się do snu. A gdy z pobliskiego kościoła ozwał się wieczorny dzwon, biedny stary nauczyciel poderwał się nagle z miejsca, i obłędnym wzrokiem wodząc dokoła, nadsłuchiwał pilnie.

Zapadał zwolna zmierzch . . .

Nieszczęsny starzec stał jeszcze chwilę jakby przykuty, potem wpatrując się we mnie przejmująco, zasyczał:

— Pali się! . . . słyszy pan! dzwonią! pali się! . . .

— Ale cóż znowu! niechże się pan uspokoi. Dzwonią na Anioł Pański!!

Wstrząsnął się cały w sobie i z rozwianą połą peleryny wypadł jak upiorny czarny ptak na drogę, i zniknął w mroku.

Przy wtórze jękliwej sygnaturki słyszałem już tylko, krzyk nieszczęsnego „belfra" dochodzący mnie z daleka:

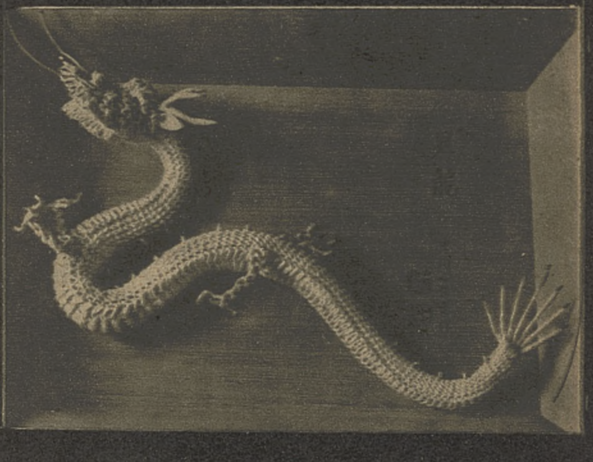
— Beeelka! . . . Beeelka! . . .

Postronnie dowiedziałem się później, że płonąca belka spadła w sieni na główkę nieszczęsnego dziecka. Gdy wypadł stary z płonącego domu, w ręku trzymał już tylko skrwawionego trupa, swojego ukochania.

# STRASZNY SMOK Z... PAPIERU



Czyżby przyrodnik z zainteresowaniem badający niezwykły okaz fauny przedpotopowej! Nie, to jedynie skromny artysta japoński Ippyosai Nakagawa z Osaki. Przy pomocy kilku drucików, nożyczek i obcęgów niezwykły ten artysta tworzy z papieru pergaminowego istne arcydzieła. Spod jego zręcznych palców powstają egzotyczne zwierzęta, legendarne smoki i figurki bóstw.



Czyżby legendarny smok japoński ożył! Tyle niesamowitej ekspresji połączonej z artystyczną fantazją promieniuje z tego tworu wyobraźni japońskiego artysty, że patrzącemu wydaje się chwilami, że buchną płomienie z paszczy potwora, a ogniem ziejące oczy sparaliżują swą hypnotyczną mocą każdego śmiałka.



Mistrz Nakagawa chętnie wtajemnicza swych przyjaciół i młodych uczni, pragnących iść w jego ślady, w trudne arkana tej niezwykłej sztuki, której stronę techniczną sam opanował bez reszty dopiero po długich latach ćwiczeń. Długie też miesiące upłyną, zanim obecna uczennica mistrza sama pocznie tworzyć oryginalne dzieła.

Fot.: Transozean

# ROZMAITOŚCI

### BAOBAB USZCZĘŚLIWIA

Dr Sven Svanstrom, szwedzki badacz przyrody, który niedawno powrócił z ekspedycji naukowej ze środkowej Afryki do swej ojczyzny, zbadał dokładnie niezwykłe własności pewnego drzewa z gatunku drzew chlebowych. Drzewo to nazywane przez tubylców „baobabem" jest tak proste jak obelisk, średnica jego pnia dochodzi często do 2 m, pierwsze gałęzie zaczynają się dopiero na wysokości 25—30 m. Sok tego drzewa zawiera jakiś składnik o odurzającym zapachu, który wywiera podobne działanie jak haszysz. Podczas dnia wyziewy jego są mało odczuwalne, ale z zapadnięciem zmroku, co w okolicach równika dzieje się bardzo gwałtownie, stają się tak silne, że wywierają zabójcze działanie na motyle i inne owady, znajdujące się w pobliżu drzewa. Ludzi natomiast wprawiają te zapachy w stan pewnej euforii, uczucie o przenikającej błogości zarówno pod względem fizycznym jak i duchowym. Przechodzi ono szybko w sen pełen czarujących marzeń sennych i wizji, z którego jednak śpiący nigdy się sam nie przebudzi. Po upływie 5 lub 6 godzin, zależy to zresztą od fizycznej i nerwowej wytrzymałości człowieka, staje się oddech śpiącego coraz to słabszy i gdy się go energicznie nie obudzi, umiera zatruty zabójczym zapachem drzewa wciąż w stanie szczęśliwości. Mieszkańcy dżungli znający bardzo dobrze własności tego drzewa ostrzegli prof. Svanströma, który postanowił na sobie wypróbować jego działanie zobowiązawszy wprzód 2 białych biorących udział w ekspedycji, by go po upływie pół godziny obudzili. — Śniłem coś boskiego — opowiadał później badacz, — choć szczegółów nie mogę sobie przypomnieć. Skoro tylko zasnąłem, uczułem że przenika mnie uczucie nieopisanego szczęścia, którego w ogóle nie da się w słowach wyrazić. Widziałem cudowne barwy, słyszałem czarujące tony i melodie, mówiłem z istotami pięknymi i dobrymi jak anieli. Nigdy jeszcze w mym życiu nie czułem się taki szczęśliwy jak w czasie krótkiego snu w cieniu liści tego niezwykłego drzewa, które tubylcy nazywają drzewem rajskim.

### NIEBEZPIECZEŃSTWO ŁYSINY

Włos ludzki jest skazany na to, że pewnego pięknego dnia zniknie zupełnie z głów ludzkich. Takiego zdania jest w każdym razie antropolog holenderski L. Bolk, który jest członkiem Instytutu Anatomicznego uniwersytetu w Amsterdamie. Według jego opinii będzie się porost włosów coraz bardziej zmniejszał i w końcu wszyscy ludzie świecić będą łysinami, jak pełnia księżyca. Człowiek przedhistoryczny był bardzo silnie owłosiony, włosy stanowiły bowiem dla niego ochronę przed zimnem. Jak wiemy, nie okrywał się człowiek pierwotny tak szczelnie, jak my dzisiaj. Kiedy z biegiem czasu ludzie zaczęli używać sukien, zniszczył się włos przez ocieranie, a poza tym stał się też zbyteczny. Także włosy na głowie znikną w ten sposób.

Pogląd Bolka dzieli wielu uczonych i należy się liczyć z tym, że pewnego dnia i kobiety ukażą się na ulicy odarte z najbardziej naturalnej ozdoby. Miejmy nadzieję, że to jednak nie prędko się jeszcze stanie i że nie dożyjemy już tej hańby. Prawdopodobnie pogodzą się ludzie i z tym, jak się już musieli godzić z wielu innymi rzeczami.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Pilsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



— *Gdzie cię najwięcej boli, Jasiu?*
— *Moje nogi, bo na nich siedzisz, Kasiu.* Die Woche



— *Wiesz Haniu, — już od dawna chciałem cię o coś zapytać!*
— *A ja już od dawna chciałam ci na to odpowiedzieć, Mieciu.* Die Grüne Post

— Z kasyna poszło całe towarzystwo do kawiarni na czarną kawę; musieli się tam wesoło bawić, jeszcze rano podczas śniadania widziałem dwie damy, leżące pod stołem.
— Które?
— Treflową i karową.

*

Żona: — Czy to prawda, Władziu, że w noc świętojańską czarownice latają w powietrzu?
Mąż: — Słyszałem i ja coś o tym. Szkoda, że nie pamiętaliśmy o tym przedtem, właśnie mamusia twoja była u nas wówczas z odwiedzinami, można się było przekonać.

— Tak, tak mój drogi, nie znajdziesz już dzisiaj na świecie przyjaciela w potrzebie.
— A kiedy to nieprawda. — Mam kilku przyjaciół, którzy są zawsze w „potrzebie".

*

— Klociu, czy nie wiesz, gdzie położyłem okulary?
— Nie mam pojęcia, Gustawie.
— Ach, jaką te kobiety mają krótka pamięć.



— *Ja osobiście doznaję większych emocji, gdy wspinam się pod górę, niż kiedy zjeżdżam!...* Hamburger Illustrierte

# KĄCIK KARYKATURZYSTY



*MUZYKALNY*
— *Czy pan gra na fortepianie?*
— *Owszem, raz grałem, ale karty bardzo się ślizgają...* Rys. J. Warszczkiewicz — Kraków



*Na prawo:*
— *Czy chciałabyś być mężczyzną, najdroższa?*
— *Tak! I ty zapewne także?...* Die Woche

— Czy można zjeść porządnie u was, panie kelnerze?
— O c z y w i ś c i e. Wszyscy nasi goście zachowują się u nas przy jedzeniu tak, jak się należy.

*

— Jak to! Pani całkiem samotnie odbywa podróż poślubną?
— Tak. Mój mąż był już bowiem raz żonatym i zna dobrze te okolice.

*

— Rysopis pana jest jak paszport podaje: Nos proporcjonalny, usta średniej wielkości, twarz owalna . . . przecież to wszystko nie zgadza się z wyglądem pana!
— Możliwe, gdyż ja zacząłem się boksować od dwóch miesięcy.

*

Pan Jan musi wyjechać z domu na jakiś czas. Jego żona żegnając go mówi:
— Czy będziesz o mnie myślał czasami, Janku?
— Oczywiście — wzdycha pan Jan, — przecież ty masz pełnomocnictwo bankowe.

*

— Czy słyszałeś, mój mężusiu, jak twój przyjaciel Zygmunt powiedział do swojej żony, by obejrzała sobie kapelusze po 200 złotych? Mógłbyś sobie wziąć wzór z takiego człowieka.
— A czy ja ci kiedy broniłem oglądać na wystawie kapelusze po 200 złotych?

*

— Pański sędziwy wiek jest przyczyną bólów, które odczuwa pan w lewej ręce.
— To niemożliwe, panie doktorze! Moja prawa ręka jest równie stara jak lewa, a nie boli mnie całkiem.

*

Jeżeli jakiś poeta nie znajduje uznania u współczesnych mu ludzi, pociesza się zwykle myślą, że kiedyś potomność go oceni. Do tej kategorii poetów należał również pan Hieronim Kulka. Pewnego dnia wręczyła mu gospodyni pocztę ze słowami: — Wszystkie pana utwory odesłano z powrotem.
— To dlatego, że przewyższam swe czasy pod każdym względem, moja pani.
Gospodyni skinęła głową: — Możliwe, proszę pana, ale z czynszem jest pan bardzo w tyle w stosunku do innych.

*

— Państwo muszą opuścić moją łąkę, bo tu na trawie leżeć nie wolno.
— Widzisz Ludku, a nie mówiłam ci, żebyś zabrał nasz koc na wycieczkę.

*

— No, cóż ci powiedziała lekarka N., gdyś się jej oświadczył?
— Nie odezwała się do mnie ani słowa; wzruszyła tylko ramionami — zbadała mi puls i napisała receptę.

*

— Cały dzień pracuję, sprzątam, gotuję, smażę i piekę dla ciebie — skarży się żona — a co mam w zamian? Nic, absolutnie nic.
— No, masz chyba tę satysfakcję — odpowiada mąż — że mnie wciąż żołądek boli.

### *ON CZY ONA?...*

*Ktoś tam raz na herbatce spytał koleżeńskiej:*
*— Czy ów gołąb Noego, co gałązkę oliwną*
*— Z arki uniósł nad wody... był płci męskiej czy żeńskiej?...*
*Długo... długo myślano nad zagadką tą dziwną.*

*Wreszcie znawca uchylił tej zagadce przyłbicy:*
*— Że to pewno był samiec ... oto argumenty:*
*— Wszak czyż można przypuścić, by się gołębicy*
*— Dało trzymać swój dzióbek tak długo... zamknięty?...*

### *PO AMERYKAŃSKU*

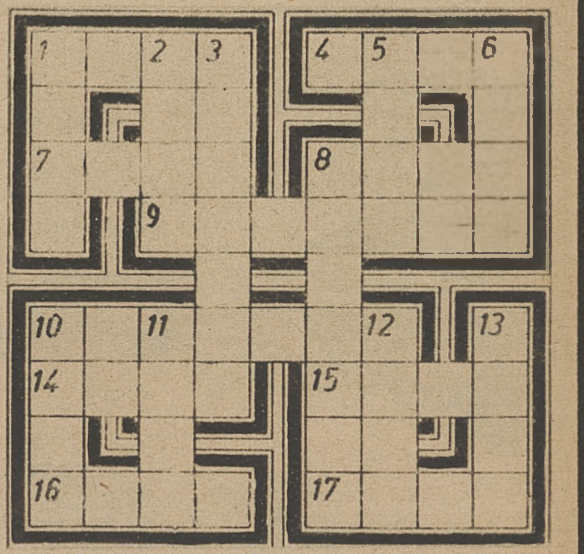
*W poniedziałek — ją poznałem,*
*We wtorek — ją pokochałem,*
*We środę — mnie poślubiła,*
*We czwartek — mnie wałkiem zbiła*
*W piątek — zdradę jej dowiodłem,*
*W sobotę — się z nią rozwiodłem...*
*W niedzielę — wypadło spocząć,*
*By nazajutrz — z nową począć.*

**la**

## ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

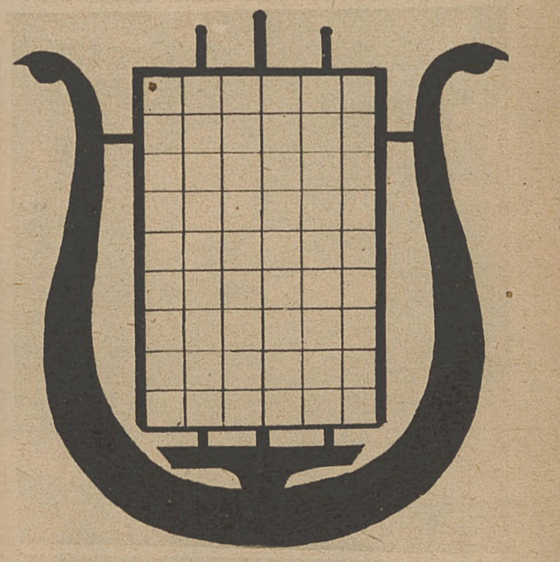
**KRZYŻÓWKA**
**ul.: Nemo**



**Poziomo:** 1. Ruch miarowy, równomierny, odbywający się według taktu. 4. Opady atmosferyczne. 7. Jednostka długości. 8. Mechanizm, wewnętrzna maszyneria zegarka. 9. Chorobliwa niemożność utrzymania się na nogach (wspak) 10. Rozbójnik morski. 14. Gatunek grzybów. 15. W mitologii greckiej, bóg nieba 16. Płd. ramię delty Renu 17. Otwór w ziemi.

**Pionowo:** 1. Oprawa obrazu. 2. Zdrobniałe — ojciec. 3. Rodzaj gry w karty. 5. Chwast o liściach kolących. 6 Wielka łódź, znana z biblii. 8. Roślina, której liśćmi wieńczono głowy wielkich ludzi. 10. Płyn odżywczy, krążący w ustroju ludzkim, lub zwierzęcym. 11. Zasadowy tlenek żelazowy. 12. Liczba która dodana do dowolnej liczby nie zmienia jej wartości. 13. Część twarzy.

**LOGOGRYF**
**ul.: Reichel z Jasła**



W kratki figury należy wpisać dziewięć 6-cio-literowych wyrazów o poniższym znaczeniu. Początkowe litery czytane pionowo z góry na dół dadzą rozwiązanie.

**Wyrazy:** 1. miasto w Rosji; 2. główna część wnętrza kościoła; 3. jedna z planet; 4. wynik dzielenia; 5. prawo; 6. posąg; 7. hotel przydrożny; 8. japoński strój narodowy; 9. owoc południowy.

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 7**

**Poziomo:** 1. Janina, 6. ugor, 10. pastor, 12. Adela, 13. Orinoko, 14. raid, 15. Kain, 16. wnet, 19. fa, 22. Ob, 23. od, 25. pi, 26. na, 27. ku, 28. is, 29. ks wspak, 30. Artur, 33. rżyj, 35. Oran, 36. parawan, 39. praca, 40. armata, 41. arak, 42. zrazik.

**Pionowo:** 1. jar, 2. wada wspak, 3. nein, 4. Ildefons, 5. na, 6. Uri, 7. gin, 8. on, 9. ro, 10. Po czyli Pad, 11. rysopis, 17. tabak, 18. Grażyna, 20. Minerwa, 21. tokaj, 24. dur, 25. piraci, 31. tora, 32. uraz, 34. żak, 37. Ra 36. pa, 38. ar.

# TEMPERAMENT NA LODZIE

Fot. Eurofot

**Obok w kole:**
Na czubkach łyżew tańczy primabalerina swe piruety, a wykonuje to z takim wdziękiem, jakby tańczyła na koniuszkach palców n a s c e n i e.



## BALET NA ŁYŻWACH

Maksimum wdzięku i gracji ruchów może osiągnąć człowiek tylko w jeździe na łyżwach. Nigdzie indziej bowiem nie ma on tak mało kontaktu z ziemią jak na lodzie, gdy dotyka tafli lodowej jedynie wąską krawędzią łyżwy i swobodny jak ptak unosi się nad gładką, lustrzaną powierzchnią lodu. W tym fakcie właśnie tkwi cały urok rewii produkującej się na torze łyżwiarskim. Tu dopiero młode tancerki mają okazję rozwinąć w całej pełni swą umiejętność, rozmach i wdzięk, a kontrast między gorącym temperamentem tancerek a zimną płaszczyzną lodową kryje w sobie jakiś niezwykle pociągający, sugestywny wprost czar.



**Na lewo:**
Zajrzyjmy „za kulisy". Jakiż niespodziewany w i d o k przedstawi się naszym oczom. Oto nasze baletniczki siedzą p r z y kaloryferach i robią pończochy na drutach. Dochodzimy po raz setny może do wniosku, że życia składa się z kontrastów poezji i prozy, i l u z j i i rzeczywistości



Nawet silny mróz nie może ostudzić gorącej miłości czego dowodzi ten uroczy J a s i o całujący swą Kasię. Jak z ilustracji możemy wnioskować, humor c z ę s t o chodzi w parze z gracją.



Pełen życia one-step na łyżwach otwiera rewię.